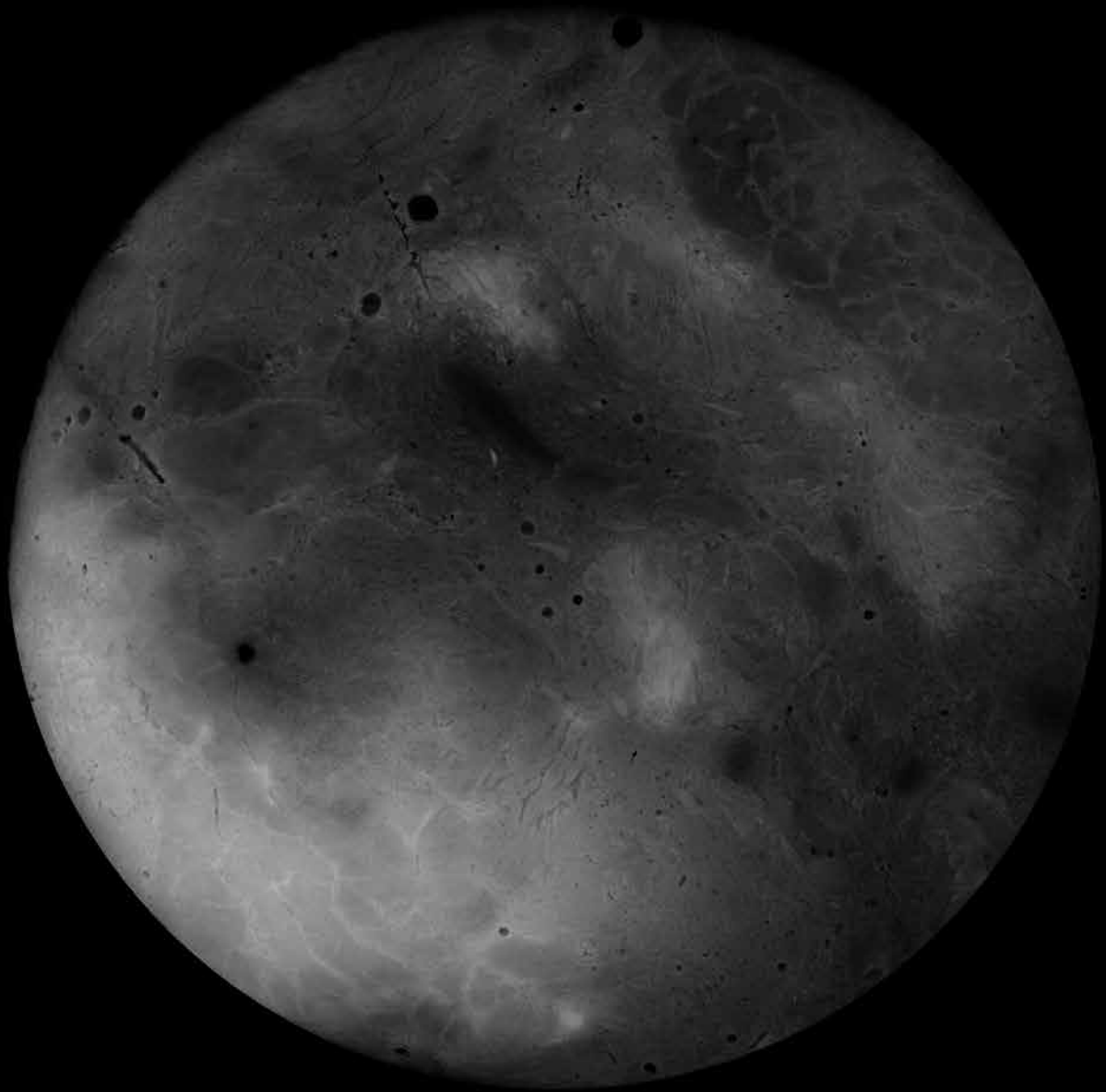


# nieprawda



**strony #3**

listopad 2017

# Intro #3

## Prawda

to kłopot. Filozoficzny, logiczny, psychologiczny. Codzienny.

Od niepamiętnych czasów, a dziś chyba szczególnie.

Teoretycznie prawda to twierdzenie o określonym fakcie, zgodność z faktycznym stanem rzeczy.

Ale i określenia: „fakt” i „faktyczny stan rzeczy” sprawiają dziś problem.

Od faktów bardziej ceni się emocje. To, w co nam każą wierzyć emocje, staje się naszą prawdą – nawet jeśli ktoś nam jak na dłoni pokaże fakty, które tej „prawdzie” przeczą.

Co roku redaktorzy słownika oxfordzkiego wybierają słowo roku. W 2016 było to słowo *post-truth*, czyli postprawda. Słowem faworytem w Niemczech było *postfaktisch*. Obydwa określenia odnoszą się do sytuacji, w której w podejmowaniu decyzji i kształtowaniu opinii większą rolę odgrywają emocje niż fakty. W uzasadnieniu decyzji redaktorzy wskazali przykłady referendum w sprawie wyjścia z Unii Europejskiej w Wielkiej Brytanii i wybory w Stanach Zjednoczonych.

Prawdzie i postprawdzie poświęciliśmy trzeci numer zinu STRONY. Agnieszka Rayss, odpowiedzialna za opracowanie trzeciego numeru zinu, zaprosiła do współpracy przy jego tworzeniu filozofa Krzysztofa Posłajkę, w którego tekście odbijają się historyczne i te bardziej współczesne koncepcje prawdy. Na łamach trzeciego numeru debiutuje wśród piszących członek kolektywu Sputnik Photos, Michał Łuczak, który na przykładzie pewnego zdjęcia szuka odpowiedzi na pytanie, czy fotografia mówi prawdę.

Tekst Olgi Gitkiewicz przypomina najsłynniejsze mistyfikacje – te artystyczne i te naukowe. W trzecim numerze STRON znalazło się też miejsce dla fikcji. Jarosław Dudycz w swoim kampaowym tekście bawi się figurami kłamstwa i prawdy.

STRONY jako całość to zin i akcja w przestrzeni miejskiej Warszawy. Trzeci numer zinu wspierają prace artystów wizualnych: Marty Frej, Moniki Drożyńskiej, Weroniki Perłowskiej, Dominiki Gęsickiej, Igora Pisuka i Przemysława Branasa.

Premierze każdego numeru STRON towarzyszy debata. Na tę poświęconą prawdzie zapraszamy do klubokawiarni Państwomiesto 24 listopada. Zaczynamy o 19.00.

Trzeci numer zinu, podobnie jak poprzednie, w limitowanym nakładzie 500 egzemplarzy, będzie dostępny w internecie ([www.sputnikphotos.com](http://www.sputnikphotos.com), [www.issuu.com](http://www.issuu.com), [www.ziny.pl](http://www.ziny.pl)) oraz w wybranych warszawskich klubokawiarniach (m.in. Wrzenie Świata, barStudio, Reset, Państwomiesto, Towarzyska).



# Post- prawda po post- moderni- zmie

**DR KRZYSZTOF POSŁAJKO**  
UNIwersYTET Jagielloński

Doktor filozofii, wykładowca  
Uniwersytetu Jagiellońskiego.  
Członek redakcji internetowego  
magazynu „Nowe Peryferie”.  
Interesuje się analityczną  
filozofią języka i ontologią.

Klasyczna, malowana szerokimi pociągnięciami intelektualnego pędzla, opowieść o losach pojęcia prawdy w kulturze zachodniej Europy ostatniego stulecia przedstawia się zazwyczaj tak: nowożytny racjonalizm i Oświecenie pozostawiły Europie w dziedzictwie pojęcie prawdy jako ideału związanego z pojęciem obiektywności. Aby dotrzeć do prawdy – w myśl tej modernistycznej koncepcji – należy trzymać się kurczowo określonych metod poznawczych, określanych przez kanony naukowej racjonalności; prawda jest zadana przez empiryczne i matematyczne poznanie, które odkrywa przed nami wszelkie rzekome tajemnice rzeczywistości. Podróż Darwina na Galapagos to właśnie ilustracja tej – dość romantycznej w swym pozytywizmie – opowieści; pokazuje ona, w jaki sposób metodyczne, naukowe poznanie pozwala na dotarcie do głębi natury. Nagrodą za metodyczne poznanie jest to, że odkrywana przez nas prawda ma walor uniwersalny. Prawda ludzi modernizmu miała być prawdą powszechną – raz zdobyta stała się czymś, co każdy racjonalny podmiot miał intelektualny obowiązek uznać.

Oświeceniowa prawda – z jej metodycznym uzasadnieniem i roszczeniem do absolutnej uniwersalności – stała się przedmiotem intelektualnego ataku w epoce, którą zwyczajowo zwiemy postmodernizmem. Krytyki oświecenia produkowane masowo przez filozofów postmodernistycznych stały się częścią powszechnej świadomości intelektualnej do tego stopnia, że dziś w zasadzie brzmią banalnie. W uniwersalnym roszczeniu – oświecali nas wrogowie oświecenia – kryje się potencjał totalitarny, zaś każda „wielka narracja” niesie za sobą ryzyko politycznego podporządkowania i wykluczenia grup podporządkowanych. Mająca w założeniu uniwersalizujący potencjał metoda naukowa tak naprawdę jest narzędziem do tego, aby uprzywilejowani – bogaci biali mężczyźni z krajów globalnego centrum – mogli przedstawiać swój własny interesowny pogląd jako obowiązujący wszystkich bez wyjątku. Uniwersalna prawda nie jest narzędziem rozwoju ludzkości; wręcz przeciwnie – służy do jej zniewolenia.

Cóż więc mamy przyjąć zamiast powszechnej, jednej i po wsze czasy obowiązującej prawdy modernizmu? Odpowiedź postmodernistów jest dobrze znana – należy celebrować „małe narracje”, prawdy lokalne,

związane z autentycznie przeżywanym doświadczeniem tych, których uniwersalistyczna prawda modernizmu spychała na marginesy. Przede wszystkim zaś nie możemy udawać, że prawda jest wynikiem czystej racjonalności, lecz musimy uczciwie przyznać, że jest ona zawsze uwikłana w walkę o dominację i władzę. Ten, kto głosi jakąś prawdę, zawsze robi to dlatego, że ma w tym jakiś polityczny – w szerokim tego słowa znaczeniu – interes.

Od maja 1968 roku minęło już niemal pięćdziesiąt lat i te wszystkie tezy postmodernistów nie brzmią już jak ekscytujące odkrycia i zapowiedź intelektualnej rewolucji, lecz jak miłą banalność. Oczywiście, postmoderniści mieli swoje racje – wiele razy słusznie wskazywali sytuacje, gdy za uniwersalistycznymi roszczeniami oświeceniowej prawdy kryła się naga chęć przemocy i dominacji.

Pozytywne postulaty postmodernizmu jednak nigdy nie weszły w życie. Nie doszliśmy do stanu, w którym dekonstrukcja wielkich narracji doprowadziła do społeczeństwa pełnego tolerancji i akceptacji dla narracji mniejszościowych. Popularna krytyka postmodernizmu głosi, że mimo szumnych deklaracji był on *de facto* politycznie bezpłodny – nie doprowadził do realnej zmiany społecznej. Wygenerował jedynie nadprodukcję napuszonych tekstów lewicujących akademików; postmodernistyczna krytyka stała się sztuką dla sztuki i to na dodatek, ostatecznie dość nudną (ile razy bowiem można czytać te same „dekonstrukcje”).

Inna linia krytyki postmodernizmu głosi, że – wbrew oryginalnym intencjom twórców – ten prąd myślowy ostatecznie okazał się niezwykle groźny politycznie. Skoro bowiem – mówiąc prostacko – każdy ma swoją prawdę, to dlaczego nie uznać, że prawo do własnej mikronarracji mają rozmaicie rozumiani „faszyści”: zwolennicy rasowej supremacji czy fanatycy religijni. Kimże jesteśmy, aby odmawiać im prawa do własnych opowieści i własnych prawd?

W myśl tej krytyki postmodernizmu proponowana przez ten nurt myślenia rezygnacja z roszczenia do uniwersalności niesie ze sobą niebezpieczeństwo, że pozbawimy się narzędzi krytyki najgorszych zja-

**Należenie do mniejszości, nawet jednoosobowej, nie czyni nikogo szaleńcem. Istnieje prawda i istnieje fałsz, lecz dopóki ktoś upiera się przy prawdzie, nawet wbrew całemu światu, pozostaje normalny. Normalność nie jest kwestią statystyki.**

GEORGE ORWELL, ROK 1984

wisk dyskursu. Rozczarowanie postmodernizmem jako teorią szło w parze z rozczarowaniem multikulturalizmem jako praktyką polityczną. W wielu społeczeństwach Zachodu popularne stało się utyskiwanie, że polityka wielości kultur bynajmniej nie prowadzi do powstania pluralistycznego i otwartego społeczeństwa, lecz do wytwarzania się coraz większej ilości etnicznych i kulturowych gett, których członkowie coraz bardziej niechętnie kontaktują się z mieszkańcami gett sąsiednich, a za to w coraz większym stopniu mają skłonność do narzucania swoim pobratymcom jednomyślności ideologicznej. W analogiczny sposób postmodernizm miał prowadzić do wytwarzania się gett intelektualnych, których mieszkańcy są zamknięci, pozbawieni ochoty i umiejętności prowadzenia komunikacji z tymi, którzy zamieszkują getta osobne. W języku angielskim ten fenomen – bardzo silnie widoczny w mediach społecznościowych – ma już swoją zwyczajową nazwę *echo chamber*. Jest to fenomen polegający na tym, że fejsbukowicze i twitterowicze mają tendencję do zamykania się w bańkach, w których słyszą jedynie głosy podobne do ich własnych.

Postmodernizm nie znikł do końca. Jego cień wciąż ciąży nad naszym myśleniem na temat prawdy. Najbardziej istotnym elementem dziedzictwa postmodernizmu jest przekonanie o związku prawdziwości z subiektywnym doświadczeniem. „Prawda” jest komplemtem, jaki prawimy zdaniom – powiedział kiedyś Rorty. Przekonanie o prawdziwości jakiegoś twierdzenia wiąże się z tym, że czujemy się z tym twierdzeniem emocjonalnie związani. Prawda jest naszą prawdą: znaczy to mniej więcej tyle, że to, w co wierzymy, określa to, kim jesteśmy i *vice versa*. Oceniając różne propozycje zdań, którym mamy dać wiarę – a tych propozycji nasza późno-kapitalistyczna kondycja oferuje nam nieprzebrane ilości – decydujemy się na te, które oferują nam największą emocjonalną nadwyżkę. Prawda ma nas cieszyć, a jeśli nawet nie cieszy, to przynajmniej ma nas emocjonalnie pobudzać – nie ma przecież nic bardziej ekscytującego niż dreszczyk, jaki daje nam słuszne oburzenie – lub poczucie, że należymy do elitarnego grona ludzi dostrzegających prawdę, której inni nie potrafią zdzierżyć.

Odrzucenie postmodernistycznych ideałów tolerancji i pluralizmu jako wyrazów „lewackiego idealizmu” przy jednoczesnym zachowaniu przeświadczenia, że prawda ma charakter emocjonalno-subiektywny, doprowadziło nas do panowania tego, co redaktorzy pism opinii nazywają „postprawdą”, a co stanowi autentycznie nowy fenomen współczesnego rozumienia prawdy.

**Pojęcia są tylko wyrazami:  
cnota i występki  
prawda i kłamstwo  
piękno i brzydota  
męstwo i tchórzostwo**

TADEUSZ RÓŻEWICZ, OCALONY

Istnieje znacząca różnica między sytuacją odbiorców propagandy dawnych totalitarnych reżymów i nami – odbiorcami postprawd generowanych przez wszechobecne media społecznościowe i „alternatywne”. Totalitarna propaganda była w jawny sposób fasadą – dla wszystkich uczestników spektakli tworzonych przez reżymowych propagandystów stało się jasne, że mają do czynienia z czymś sztucznym. Tak było przynajmniej w schyłkowym okresie komunizmu, gdy propagandowe treści uznawano za sztuczne – i czynili to zarówno ich wytwórcy, jak i odbiorcy.

Tymczasem to, co dziś sprzedaje się ludziom jako postprawdę, to rzeczy, które łapią nas za serce. Zwolennicy teorii spiskowych, antyszczepionkowcy, rycerze walki z nadciągającą islamistyczną inwazją – wszyscy ci ludzie czują się autentycznie emocjonalnie związani z poglądami, które głoszą. W tym sensie prawda jest nadal „ich” prawdą – to, co uważają za prawdziwe, jest w pewnym głębokim sensie związane z tym, kim są, jak czują i jak odbierają świat. Nie jest to jednak jedynie postmodernistyczna, prywatna opowieść – ci, którzy uznają postprawdy jako swoje, odczuwają silną potrzebę narzucenia swojej emocji innym. Charakterystyczną cechą wszelkich opowieści, które podpadają pod zakres postprawdy, jest to, że ich wyznawcy mają potrzebę uznania ich prawd przez innych. W postprawdzie kryje się roszczenie do uniwersalnego obowiązywania.

Żyjemy w czasie, gdy postmodernizm nie umarł całkiem, ale już nie jest obowiązującą normą dla funkcjonowania prawdy w sferze publicznej. Odziedziczyliśmy po nim swoistą hermeneutykę podejrzeń – nie ma w nas już zaufania do ekspertów, dysponujących bezosobową metodą pozwalającą dotrzeć do powszechnie obowiązujących prawd. Wręcz przeciwnie, człowiek dzisiejszy jest nieustannie podejrzliwy wobec każdej próby przekazania mu prawdy obiektywnej, a w produktach wiedzy specjalistycznej widzi zazwyczaj działanie ukrytych politycznych sił. Nie wróciliśmy do czasów modernistycznego poznawczego optymizmu.

Dzisiejsza prawda to niepokojąca mieszanka czasów intelektualnego chaosu – z jednej strony emocjonalny subiektywizm, przekonanie o tym, że praw-

da ma być czymś własnym i uczuciowo bliskim, idący w parze ze sceptycyzmem co do roli ekspertów, a z drugiej – przekonanie o uniwersalności własnego doświadczenia, rodzące głośne domaganie się powszechnego uznania naszej subiektywnej prawdy. Naturalnym efektem takiego rozumienia prawdziwości jest kultura flejmu – słownej walki o dominację w internetowej przestrzeni, w której nie obowiązują żadne reguły racjonalności, a jedynie zasada nagiej dyskursywnej siły. I jakkolwiek wszyscy są przekonani, że we flejmie nie da się zwyciężyć w sposób rozsądny, to jednak czujemy przymus, by brać udział w tych dyskursywnych zapasach. W końcu, skoro już uznaliśmy jakąś prawdę za swoją, to przecież nie po to, by zatrzymać ją dla siebie, a po to, by wepchnąć ją innym przez gardło i w ten sposób poczuć, że nasza wartość zyskała uznanie.

Jest to, trzeba przyznać, dość pesymistyczny obraz i wydaje się, że niewiele można zdziałać, by uniknąć całkowitego załamania komunikacji i zrozumienia przy tak określonych warunkach brzegowych. W tym kontekście ważną rolę może odegrać – jakkolwiek naiwnie by to nie zabrzmiało – całkiem staroświecka edukacja humanistyczna. Być może tym, czego w największym stopniu brakuje uczestnikom dzisiejszych quasi-debat w sferze publicznej, jest trening intelektualnych cnót: zdrowego wątplenia w to, co wydaje się nam oczywiste, uważności w śledzeniu argumentów, otwartości na inne głosy oraz swoistej intelektualnej empatii. I wydaje się, że nic nie może zastąpić tradycyjnych dziedzin humanistycznych – filozofii, literatury, historii – w rozwijaniu tych umiejętności. Być może też niski status humanistycznego wykształcenia w świecie współczesnym nie pozostaje bez związku z upadającą kulturą debaty publicznej i wykrzywionym pojęciem prawdy. Jednak aby humanistyka mogła pełnić funkcję kształcenia obywateli zdolnych do rozsądnego uczestnictwa w sferze ścierania się idei, to sami jej luminarze musieliby wyjść z roli samozwańczych magów, próbujących zaklinać rzeczywistość społeczną, a na powrót przyjąć rolę nauczycieli umysłowych cnót. Być może to się stanie – sam efekt zmęczenia jałowością obecnych sporów może doprowadzić do takiej zmiany. I chyba tej nadziei warto się trzymać.

**To nie jest prawda co wykrzykują afisze  
prawdę nosimy w zaciśniętych ustach  
okrutna jest i nazbyt ciężka  
więc dźwigamy ją sami**

ZBIGNIEW HERBERT, RAPORT Z OBLĘŻONEGO MIASTA



MARTA FREJ

# Fotografia. Kontekst dopisz sobie sam.

Rok 1839. Dwa lata wcześniej Samuel Morse pokazał swój telegraf, przed dekadą rozpoczęła się ekspansja kolei. Ludzkość zwróciła się w stronę technologii. Udostępniona w tym czasie dagerotypia (proces utrwalania obrazu na płytkach miedzianych, o dużej precyzji odwzorowania) była „produktem”, który idealnie wpisywał się w czasy rewolucji przemysłowej.

W tym okresie oprócz Daguerre’a jeszcze dwóch wynalazców pracowało nad udoskonaleniem procesów utrwalania obrazów robionych za pomocą camery obscury: Henry Fox Talbot w Anglii, który w tej historii będzie mniej ważny, i Hippolyte Bayard, człowiek, który przegrał z układami w Akademii Francuskiej i duchem czasów. Odkryty przez niego proces utrwalania obrazu na papierze był mniej popularny niż metoda Daguerre’a, nie otrzymał też wsparcia rządowego, czym Bayard był sfrustrowany – i postanowił się zabić.

Ale tylko na zdjęciu. Wykonał fotografię, na której przedstawił siebie jako topielca. Zdjęcie datowane jest na 18 października 1840 roku, Bayard w rzeczywistości żył jeszcze czterdzieści siedem długich lat.

Może nieświadomie, jednak Bayard ma to, czego chciał – jest pierwszy. Nikt wcześniej nie okłamał za pomocą zdjęcia, fotografia była traktowana jako wierne odwzorowanie z natury.

Bayard nie poprzestał na obrazie. Zdając sobie pewnie sprawę, że sam obraz nie dla wszystkich będzie oczywisty, opatrzył go komentarzem:

*Ciało, które widzą Państwo na odwrocie, to Bayard, wynalazca procesu, którego wspaniałe rezultaty mogli już Państwo widzieć albo dopiero zobaczą. O ile mi wiadomo, ten zmyślny i niezmordowany badacz od około trzech lat udoskonalał swój wynalazek. Akademia, król i wszyscy ci, którzy mieli okazję zobaczyć te rysunki – a które on sam uważał za niedoskonałe – podziwiali je, tak jak i Państwo je podziwiają w tej chwili. Przynosi mu to wiele zaszczytu, ale ani grosza. Rząd, który zbyt wiele dał Daguerre’owi, oznajmił, że nie może nic zrobić dla Bayarda i nieszczęśnik ten się utopił.*

CYTAT ZA: H. BAYARD, LO DUCA, BAYARD, NEW YORK 1979

To najprawdopodobniej pierwszy raz, kiedy fotografia traci swoją niewinność i dosłowność. Od tego momentu jej historia przepełniona jest manipulacjami.

John Berger pisze przewrotnie, że aparat fotograficzny nie kłamie nawet wtedy, kiedy ma służyć kłamstwu. Dlaczego tak wierzymy fotografii?

Ze wszystkich metod tworzenia obrazów, jakie są nam znane, fotografia najdokładniej oddaje to, co zostało na niej utrwalone. Jednak wyrwana z ciągłości – tego, co przed, i tego, co po – staje się początkiem wielu możliwości. O tym jednak zapominamy i skupiamy się na tym, co widać. Resztę dopisujemy sami.

Fotografia przede wszystkim coś pokazuje, a my w analitycznym procesie widzenia staramy się ją zrozumieć, bazując na wiedzy, doświadczeniach i emocjach. Dlatego fotografię zwykle prezentuje się z tekstem lub opisem, który pozwala na bardziej precyzyjną interpretację. Tekst tworzy kontekst, od którego zdjęcie bierze zawsze najwięcej. Tym kontekstem mogą być również inne zdjęcia, nośnik, atmosfera polityczna, format. Najciekawsze w tej grze jest jednak to, że ta sama fotografia umiejscowiona w różnych kontekstach może być za każdym razem czymś innym. Ten, kto wkłada zdjęcie w kontekst, ma jakiś rodzaj władzy nad odbiorcą.

Dziś najczęściej mamy do czynienia z fotografią w prasie, reklamie zewnętrznej i internecie. Jesteśmy otoczeni obrazami, każdego dnia bezwiednie oglądamy ich tysiące. Nauczylismy się sceptycznie podchodzić do fotografii reklamowej, wiemy, że Big Mac, który ląduje na naszej tacce, nigdy nie wygląda tak, jak ten z fotografii nad kasami. Dlaczego nie wytworzyliśmy podobnego odruchu w stosunku do fotografii prasowej i tej z internetu?

W październiku 2013 roku tygodnik „W Sieci” publikuje skadrowane do pionu zdjęcie odwróconego bokiem ówczesnego premiera Donalda Tuska z uniesionymi na wysokość torsu dłońmi zaciśniętymi w pięści. Naprzeciwko stoi ówczesny premier Federacji Rosyjskiej Władimir Putin. Jest uśmiechnięty i patrzy na Tuska, na którego profilu również widać uśmiech. Na górze napis: „Nieznane zdjęcie – Smoleńsk 10.04.2010”. Na dole słowa: „Premier Donald Tusk tuż po tragicznej śmierci prezydenta Lecha Kaczyńskiego i polskiej elity. Kiedy poznamy prawdę?”

Okładka początkowo ukazuje się na facebookowym profilu tygodnika, udostępnia ją wielu użytkowników. W komentarzach wyraźny podział: jedni widzą na zdjęciu dowód na spisek Tuska i Putina, a w konsekwencji rozwiązanie zagadki tragedii czy raczej zamachu smoleńskiego, drudzy wieszczą manipulację i fotomontaż, trzeci uczulają, że zdjęcie wyrwane z kontekstu nie może niczego dowodzić.

W samym tygodniku, poza okładką, pojawia się jeszcze wstępniak redaktora naczelnego Jacka Karnowskiego oraz niekadrowane, poziome zdjęcie z okładki, podpis, i drugie, mniejsze, dość popularne

zdjęcie: obejmujących się Tuska i Putina po złożeniu kwiatów w miejscu katastrofy. We wstępniaku zatytułowanym *Dogadani?* Karnowski pisze m.in.: „Zdjęcie, które ujawniamy na okładce tego wydania naszego tygodnika, przeraża. (...) Ta fotografia jest ważniejsza niż wszystkie kłamliwe raporty MAK i komisji Millera. (...) Ta fotografia wyraźnie potwierdza intuicję tak wielu z nas: wokół tragedii smoleńskiej toczyła się i nadal toczy nieczysta gra pomiędzy Warszawą a Moskwą. (...) Zdjęcie z naszej okładki stawia pytanie, na które musi paść odpowiedź. Kim są dla siebie, w kontekście tragedii, polski premier i rosyjski prezydent, wówczas premier?”

Na nieznaną fotografię reagują wszystkie ważne media w Polsce oraz politycy wszystkich opcji. Odpowiedź Pawła Grasia, rzecznika rządu, w TVP 29 października, postaci również uwiecznionej na tym zdjęciu: „Pamiętam emocje i nie przypominam sobie takiego wyrazu twarzy premiera ani takich gestów. Pamiętam to przerażenie, smutek, żal, na pewno nie było miejsca na radość. Chciałbym poznać autora tego zdjęcia i żebyśmy poznali oryginał tego zdjęcia, żeby najpierw z całą mocą można było stwierdzić, czy to zdjęcie jest prawdziwe”.

W kolejnym tygodniu „Newsweek” zamieszcza materiał śledczy pt. *Zdjęcie autorstwa Wojciecha Cieśli*. Nie przedrukowuje na otwarcie artykułu zdjęcia okładkowego z „W Sieci”, tylko znany obraz Tuska i Putina



Okładka tygodnika „W Sieci” wydanie 43/2013.

MICHAŁ ŁUCZAK  
SPUTNIK PHOTOS

Fotograf, doktorant Instytutu Twórczej Fotografii w Opawie. W swojej pracy doktorskiej bada możliwości narracyjne fotografii.

w objęciach, z podpisem: „Świadkowie spotkania Tuska z Putinem przy wraku tupolewa są zgodni: polski premier był zdruzgotany, rosyjski miał łzy w oczach”.

W tekście można przeczytać, że Tusk płakał przez godzinę po tym, jak dowiedział się o tragedii. Przywoływany jest też fotograf z PAP Jacek Turczyk, który zrobił zdjęcie niemal w tym samym miejscu, „jednak są na nim zupełnie inne emocje”. Autor podejrzewa, że fotografia pochodzi z archiwum KPRM, ale KPRM, choć deklaruje posiadanie wszystkich zdjęć z tego wydarzenia, tego akurat w swojej bazie nie ma.

Po dwóch tygodniach wyniki swojego śledztwa oparte o fotografie z KPRM, wciąż najbardziej prawdopodobne miejsce wycieku, publikuje „Gazeta Wyborcza”. W materiale Łukasza Woźnickiego i Agnieszki Kublik *Mamy rządowe zdjęcia ze Smoleńska. Tak naprawdę wyglądało spotkanie Tuska z Putinem* opublikowano trzydzieści fotografii. „GW” poprosiła KPRM o przesłanie zdjęć ze spotkania i zamieściła materiał w całości. Już na wstępie dziennikarze informują: „Wśród 30 rządowych zdjęć nie ma ani jednego podobnego do okładki prawnicowego tygodnika”. Autorem fotografii jest Grzegorz Rogiński, etatowy fotograf Centrum Informacji Rządu. Dziennik zestawia wyselekcjonowany przez potencjalne źródło wycieku wybór zdjęć i kwituje go stwierdzeniem o rozbieżności atmosfery widocznej na tych 30 i na fotografii okładkowej „W Sieci”. Ale czy 30 obrazków smutnego Putina i smutnego Tuska jest w stanie podważyć istnienie jednego, a jak się za chwilę okaże, czterech zdjęć, na których obaj się uśmiechają?

25 listopada redakcja „Do Rzeczy” publikuje całą serię zdjęć wykonanych przed i po znanym już wszystkim ujęciu, klatka po klatce.

Fotoreporterzy w ten sposób pracują: wybierają kadr i wykonują nawet kilkadziesiąt zdjęć, licząc, że na jednym z nich konfiguracja i emocje ułożą się w najlepszą kombinację. Tak było i w tym wypadku. Cztery klatki, na których jest zarejestrowany uśmiech, to numery 7, 8, 9 i 10 z dwunastu publikowanych. Na pozostałych wyrazy twarzy są neutralne. Redaktor naczelny Paweł

***I będzie prawda, której jeszcze dzisiaj nie znamy i ja jej nie znam. Prawda albo stwierdzenie, że dzisiaj, w tych okolicznościach, które mamy, tej prawdy do końca ustalić się nie da. Ale zostanie to powiedziane uczciwie, to się Polakom po prostu należy.***

JAROSŁAW KACZYŃSKI, 10.10.2017,  
KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE

***Kiedy prawda pojawia się jako obowiązujący banał – to znaczy, że umarła i nie jest już prawdą.***

ŚLAWOMIR MROŻEK, MAŁE LISTY

Lisicki we wstępniku zauważa: „Ujawnienie zdjęcia i towarzysząca dyskusja pokazały niezwykłą łatwość formułowania radykalnych oskarżeń przez zwolenników teorii o zamachu”. W dalszej części opisuje intencje redaktorów „GW”, wytykając im łatwowierność w stosunku do KPRM i chęć przyjscia Tuskowi z odsieczą w trudnej dla niego sytuacji. Ostatni akapit: „Radykalizm oskarżeń, usłużność wielkich mediów, strach rządzących – oto co ujawniło smoleńskie zdjęcie”.

Kiedy zacząłem zajmować się tym tematem, istotne było dla mnie poznanie autora zdjęcia. Z czasem stało się to sprawą drugo- lub trzeciorzędną. Początkowo chciałem usłyszeć „jak było naprawdę”, ale czy fotograf z tej odległości mógł coś usłyszeć i czy ta „prawda” z pierwszej ręki, ujawniona po kilku latach, zmieniłaby mechanizm, który chciałem na tym przykładzie pokazać? Nie.

Autorstwo zdjęcia w tym wypadku ma też mniejsze znaczenie z tego powodu, że jeżeli faktycznie, jak większość mediów wskazuje, autorem zdjęcia jest Grzegorz Rogiński, który był na miejscu z ramienia Centrum Informacji Rządu, to nie był on dziennikarzem i trudno traktować jego pracę w kategoriach etyki dziennikarskiej. Praca dla rządu ma inny charakter niż praca dziennikarska, bo wiąże się z kontrolą wizerunku osoby, dla której się pracuje.

Zdjęcie jeszcze długo żyło w Internecie i debacie publicznej. Można mnożyć przykłady wypowiedzi wszystkich stron sporu politycznego, ale nie ma to sensu, bo łatwo się ich domyślić, znając sytuację polityczną w kraju. Ważne jednak jest to, jak zachowało się środowisko prasowe po publikacji „W Sieci”. Przeczytałem wiele tekstów na ten temat i najbardziej zdziwiła mnie chyba reakcja redakcji. Dlaczego tytuły, które mają w swoich redakcjach „ludzi od zdjęć”, nie tylko fotoreporterów, ale i fotoedytorów, pracowników odpowiedzialnych za wybieranie zdjęć do publikacji, postawiły na przeczucie się kontekstami? Dlaczego zabrakło tekstu, który tłumaczyłby czytelnikom, czym właściwie fotografia jest i jak rozumieć przysłowie, że obraz mówi więcej niż tysiąc słów?

„Gazeta Wyborcza” sugeruje, że skoro na innych, wybranych przez instytucję odpowiedzialną za wizerunek premiera (!) zdjęciach nie ma takiej atmosfery jak na tym z okładki, to z tym jednym jest coś nie tak.

Trudno taki wywód traktować poważnie. W „Newsweeku” pojawiają się dwie wypowiedzi fotoreporterów, które dają jakiś pogląd na to, jak działa fotografia, ale strategia, by kilkakrotnie wspominać o zdruzgotanym Tusku i Putinie ze łzami w oczach, wpisuje się w metody ówczesnych dziennikarzy niepokornych.

Paradoksalnie teksty z nieprzychylnego ówczesnemu premierowi „Do Rzeczy” wypadają sensownie, choć oczywiście tylko na tle niefortunnnych prób „Newsweeka” i „GW”. Samo zamieszczenie sekwencji jest już dla czytelnika pewnym sygnałem, jak powstają zdjęcia.

Panuje powszechne przekonanie, że wszyscy znają się na fotografii. Każdy z nas ma aparat i wie, jak robić zdjęcia. Dlatego ludzie zaangażowani w proces powstawania fotografii nie mają wysokiej pozycji w polskiej prasie. Fotoedytor z prasy anglojęzycznej, z której wzięliśmy nazwę stanowiska, ma wiedzę o fotografii, jest współtwórcą materiału razem z dziennikarzem, fotoreporterem i grafikiem. Fotografa pyta się o zdanie w kwestii całościowego wydzźwięku danego artykułu. W polskich warunkach często fotoedytor

też to wie, ale jego rola ogranicza się do wyszukiwania zdjęć, o które prosi autor tekstu lub grafik. Zdarzają się sytuacje odmiennie, znam je z czasów, kiedy pracowałem jeszcze dla tygodników, częściej jednak ta współpraca kojarzyła mi się z frustracją i brakiem wpływu na ostateczny efekt. Często w działach internetowych wielkich tytułów dziennikarze lub redaktorzy sami szukają zdjęć w agencjach fotograficznych, nierzadko nie zerkając na ich opisy, i umieszczając je w charakterze ilustracji do tekstów na inny temat niż pierwotny. Bywa, że wyrządzają krzywdę osobom pokazanym na zdjęciach, ale jednocześnie zapewniają materiałom dobrą klikalność. Na głównych stronach portali zestawia się nieprzystające do siebie faktograficznie zdjęcia z tekstami. Poniżej przykład z ostatnich tygodni.

Cytat nie jest z Roberta Lewandowskiego, ale innego piłkarza. Dowiadujemy się o tym dopiero, gdy przejdziemy do artykułu. Prasa podobno chce walczyć z *fakenewsami*, ale jak zamierza to robić, skoro sama korzysta z tych samych mechanizmów co memy?



SPORT

Piłka nożna Teniś Felietony Justyny Kowalczyk Felietony Wojciecha Kuczoka Doping Wyprawy

Piłka nożna, sport dla lekomanów

**„Jadę na tabletkach przeciwbólowych. 5 przed meczem, inaczej nie dałbym rady”**

Zrzut ekranu ze strony głównej wyborcza.pl z dnia 5 listopada 2017.



# Jaka piękna nieprawda

## OLGA GITKIEWICZ

Dziennikarka i redaktorka, współpracuje z tygodnikiem „Polityka”. Absolwentka Polskiej Szkoły Reportażu i socjologii na Uniwersytecie Wrocławskim, autorka reporterskiej książki *Nie hańbi*.

**Zwykle nekrolog jest na końcu, prawie na końcu. Tutaj był początkiem. Kilka słów: „Zuzanna Janin, odeszła nagle”. Dalej data i miejsce pogrzebu. Ten pierwszy zamieścili bliscy, kolejny – niewymienieni z imion i nazwisk przyjaciele.**

Pogrzeb był w poniedziałek, 7 kwietnia 2003 roku, na Powązkach.

Przyszli żałobnicy. Artyści, dyrektorzy galerii, znajomi. Był ksiądz, były wieńce, była trumna, jasna, dębowa.

Pusta.

Zuzanna Janin, która miała w niej leżeć, stała nieopodal przebrana za starszą kobietę. Obserwowała swój-nieswój pogrzeb.

Ten zainscenizowany pochówek był fragmentem artystycznego projektu zatytułowanego *Widziałam swoją śmierć* i wzbudził sporo emocji. O „eksperymentcie naukowym” pisał „Fakt”, o „skandalu” serwis Plotek.pl.

Sama Janin tłumaczyła, że chciała doświadczyć niemożliwego: zobaczyć swoją śmierć. Ale przede wszystkim wejść w dialog z mediami, które na co dzień epatują tragediami i informacjami o śmierci, a jednocześnie tak naprawdę eliminują śmierć i starość z życia społecznego. Artystka analizowała też śmierć jako „fakt medialny”, a także zbudowane wokół niego rytuały: nekrologi, pamiątkowe fotografie, wieńce.

Film nagrany na cmentarzu nosi tytuł *Ceremonia* i został zmontowany z filmem *Zabawy*, na którym widać ludzi bawiących się w wesołym miasteczku, na basenie, kąpiących się.

---

**Jeśli fakty przeczą  
mojej teorii,  
tym gorzej dla faktów.**

HEGEL

W tym samym roku praskie ulice zostały obwieszane plakatami, na których widniały hasła: NIE IDŹ TAM, NIE KUPUJ, NIE WYDAWAJ. Była to część planu marketingowego związanego z otwarciem nowego supermarketu. W radiu i w telewizji wyemitowano wiele reklam, na ulicach zawisły billboardy, ludziom wręczano ulotki zachwalające niskie ceny.

Wielki sklep miał się nazywać „Czeski sen” i dopiero na kilka dni przed otwarciem zdradzono jego lokalizację.

Kampania reklamowa, pozornie zniechęcająca do kupowania, podziałała jak magnes. Choć sklep usytuowano wyjątkowo niefortunnie: poza miastem, trzeba było tam dojechać, a potem iść spory kawałek przez łąkę, na otwarciu zjawilo się dwa tysiące ludzi. Pierwszy klient przyszedł o siódmej, trzy godziny przed otwarciem sklepu, i utrzymywał, że znalazł się w okolicy tylko dlatego, że chciał obejrzeć zaćmienie słońca.

Kiedy nadeszła dziesiąta, ludzie biegli przez łąkę, by jak najszybciej znaleźć się w sklepie, którego kolorową fasadę doskonale widzieli już z drogi.

Problem polegał na tym, że była to jedynie fasada: ogromne rusztowanie z tęczową plandeką.

Akcja, atrapa sklepu i reakcje ludzi posłużyły jako materiał do nakręcenia dokumentalnego filmu *Czeski sen*. Jego twórcy, Vít Klusák i Filip Remunda, chcieli nie tylko obnażyć mechanizmy akcji marketingowych, ale i sprawdzić, czym stają się dla Czechów zakupy w wielkich sklepach.

Niedoszli klienci, gdy zorientowali się, że biorą udział w mistyfikacji, domagali się kar dla jej autorów.

– To największe łajdactwo, jakie widziałem! – powiedział jeden z klientów.

Inni bagatelizowali sprawę.

– W hipermarkecie można odpocząć, pogapić się na towar – mówili, tłumacząc, dlaczego zdecydowali się przyjechać na otwarcie sklepu.

Jeszcze inni nie do końca rozumieli, co się wydarzyło.



– Cieszę się, bo przynajmniej wyszedłem z domu. Tak, byśmy gotowali, sprząkali... – stwierdził pewien mężczyzna.

Film, uznany za najlepszy czeski film dokumentalny roku 2004, omawiano nawet w czeskim parlamencie.

Rok później w polskiej Wikipedii pojawiło się nowe hasło: Henryk Batuta, patron służewieckiej ulicy Batuty, jeden z głównych działaczy Komunistycznej Partii Polski, uczestnik wojny domowej w Hiszpanii. Zmarł w 1947 roku w czasie walk z UPA. W wielu innych hasłach pojawiały się odniesienia do działalności Batuty. Biogram był wielokrotnie kopiowany i cytowany, w tym romantyczna informacja o tym, że Batuta posłużył Hemingwayowi do stworzenia jednej z postaci w *Komu bije dzwon*.

Dopiero po piętnastu miesiącach redaktorzy polskiej Wikipedii zorientowali się, że Henryk Batuta jest *hoaxem*. Fikcją. Mistyfikacją, która przetrwała zaskakująco długo, mimo wieloetapowego sprawdzania poprawności haseł tworzonych na potrzeby internetowej encyklopedii. Hasło usunięto, dziś funkcjonuje jako „Henryk Batuta – postać fikcyjna stworzona dla mistyfikacji, której celem stała się w latach 2004–2006 polskojęzyczna Wikipedia”.

O akcji autorów fikcyjnego hasła wypowiedział się założyciel Wikipedii, Jimmy Wales. Powiedział, że była przygotowana po mistrzowsku, a hasło uwiarygodniono na wielu poziomach, dlatego wszyscy dawali się nabierać przez wiele miesięcy.

Daleka krewna Batuty, Anna Olga Szust, miała bogate CV i konto w serwisie społecznościowym. Pracowała w Zakładzie Historii Nauki i Instytucie Filozofii UAM w Poznaniu, w 2002 roku zrobiła magisterium z filozofii, rok później z psychologii, doktorat obroniła w 2009, a pięć lat później uzyskała habilitację.

Napisała książkę *Oblicza współczesnego sportu*.

Na fotografii z banku zdjęć wyglądała bardzo profesjonalnie: krótkie ciemne włosy, nieznaczny uśmiech.

Anna Olga Szust, w skrócie: Anna O. Szust to fikcyjna, niezbyt kompetentna naukowczyni, powołana do życia przez zespół badaczy z Uniwersytetu Wrocławskiego i Uniwersytetu Poznańskiego: Piotra Sorokowskiego, Emanuela Kulczyckiego, Agnieszkę

Sorokowską i Katarzynę Pisańską. To oni przesłali CV Anny Olgi Szust wraz z listem motywacyjnym do niemal czterystu redakcji pism naukowych na świecie – i do tych uznanych, i do tak zwanych drapieżnych czasopism, ang. *predatory journals*, które publikują artykuły w zamian za opłatę pobraną od autora.

Wiele z takich pism wysyła zaproszenia do publikowania na ich łamach – nawet do naukowców, którzy nie specjalizują się w dziedzinie, której czasopismo jest poświęcone. Chodzi o prosty mechanizm: naukowcy, zwłaszcza na początku kariery, chcą mieć na koncie publikacje. Drapieżne czasopisma im to umożliwiają – za pieniądze.

Polscy naukowcy postanowili sprawdzić zasięg zjawiska i wiarygodność tych czasopism.

Czterdzieści osiem pism o tematyce naukowej (z całego świata) chciało współpracować z polską badaczką. Proponowały współpracę, stanowisko redaktorki, a nawet redaktor naczelnej – zresztą bez konieczności wykonywania obowiązków służbowych, chodziło jedynie o pozyskanie „dobrego” nazwiska.

Bardzo podobny eksperyment, choć wymierzony w jedną konkretną redakcję – pisma „Charaktery” – przeprowadził Tomasz Witkowski. Wymyślił francuską psycholożkę, Renatę Aulangier, i pod jej nazwiskiem opublikował na łamach pisma artykuł zatytułowany *Wiedza prosto z pola*. Była to zbitka nieistniejących teorii i sofizmów.

Redakcja „Charakterów” nie zorientowała się, że tezy zawarte w artykule nie mają nic wspólnego z jakąkolwiek naukową teorią. Nie odkryła też, że Renata Aulangier nie istnieje.

Po ujawnieniu prawdy redaktorzy pisma uznali, że manipulacja Witkowskiego była niezgodna z zasadami etyki przyjętymi w nauce, zwłaszcza z kodeksem etyczno-zawodowym psychologa.

Manipulacje i prowokacje w sztuce czy w nauce wydają się uzasadnione, nawet jeśli niektórych oburzają.

A co ze zwykłymi, codziennymi nieprawdami?

Wielki Mur Chiński miał być jedyną budowlą widzianą z kosmosu.

W 1938 roku amerykański podróżnik Richard Halliburton napisał o tym w swojej książce *Second Book of Marvels*, a potem wszyscy już w to wierzyli, powtarzali to, uczyli się tego.

Informacja była wiele lat później dementowana przez astronautów, którzy podkreślali, że Wielkiego Muru z kosmosu nie widzieli, ale mało kto się tym

przejął. Sprawą zajęli się wreszcie naukowcy z Chińskiej Akademii Nauk – ustalili, że ludzkie oko jest w stanie dojrzeć obiekt większy niż dziesięć metrów z odległości niespełna czterdziestu kilometrów (co wprawdzie jeszcze nie prowadzi w kosmos, tylko w stratosferę).

Wielki Mur w żadnym miejscu nie jest szeroki na dziesięć metrów

Ale to ładny mit, którego wcale nie chcemy obalać.

„Wielki Mur Chiński to jedyna budowla na Ziemi widoczna na zdjęciach wykonanych ze statków kosmicznych. Jest tak wielki, że nie wiadomo, jak liczyć jego długość” – to *lead* tekstu o murze z portalu *Podróże.gazeta.pl*, z października 2011 roku.

Są też mity mniej piękne. Takie, które szkodzą.

Kamil Bulonis, podróżnik, pilot wycieczek religijnych, latem 2015 roku opisał atak uchodźców na autobus z pielgrzymami. Używając takich określeń jak „absolutna dzicz”, relacjonował, jak „ogromne zastępy imigrantów” zaatakowały turystyczny autokar, rzucając w pojazd butelkami i odchodami. Wpis pojawił się na Facebooku i był wielokrotnie udostępniany. Media, zwłaszcza prawicowe, nazwały relację „poruszającą”. Szybko okazało się, że jest nie tylko poruszająca, ale i nieprawdziwa. Bulonis zwyczajnie kłamał. I nie była to żadna mistyfikacja, żaden eksperyment, tylko tak rozpowszechniony w czasach mediów społecznościowych *fake news*. Wystarczyło sprawdzić doniesienia policyjne z tamtego regionu – takie zdarzenie nie miało miejsca.

Ale to się chyba nie liczy. Na niektórych portalach (np. *Niezależna.pl*) wciąż można znaleźć relację Bulonisa. Nie została sprostowana.

*Fake newsy* nie są polską specyfiką, odegrały sporą rolę choćby w czasie ubiegłorocznych wyborów w Stanach Zjednoczonych, gdy Internet opanowały nieprawdziwe lub niepotwierdzone informacje na temat Hillary Clinton. To chyba nie powinno dziwić w czasach, gdy dla wielu użytkowników sieci głównym źródłem wiadomości o świecie są media społecznościowe, zwłaszcza Facebook i Twitter, i gdy coraz częściej zatrzymujemy się wyłącznie na nagłówku, a potem przewijamy stronę.

Z badań wynika, że fałszywe wiadomości mają o wiele więcej udostępnień i reakcji niż prawdziwe. Nie kusi nas prawda. Kuszą nas fałszywki, które grają na emocjach, a logarytmy Facebooka coraz sprawniej podsuwają nam pod nos te właśnie wiadomości, które na dłużej przykują naszą uwagę.

Gubimy mechanizmy weryfikacji.

Niektórym zresztą nie są potrzebne: Donald Trump nazywa *fake newsem* każdą negatywną informację o sobie.

Mistyfikacje, które służą sztuce i nauce, są najczęściej przemyślane i misternie skonstruowane. Czasem mają sprowokować jakąś reakcję, a swoim zasięgiem zadziwiają nawet twórców. Bo czy nazwisko Anna O. Szust nie aż nazbyt wyraźnie wskazuje, że warto dokładnie sprawdzić osobę, która je nosi?

Jeśli tak łatwo wyprowadzić w pole naukowców czy twórców encyklopedycznych haseł, czy powinno dziwić, że wielu z nas daje się porwać fantastycznym informacjom o zamachach, o autobusach atakowanych przez uchodźców, o tajemniczych znakach na niebie?

Łatwo nas nabrać i nie trzeba do tego przemysłanych, misternych prowokacji.

Stajemy się coraz mniej sceptyczni.

Mamy coraz mniej czasu na sprawdzanie źródeł i coraz częściej zwyczajnie nie umiemy weryfikować informacji. Automatycznie wklepujemy hasło w internetową wyszukiwarkę i często za odpowiedź wystarcza nam pierwszy wynik. Powtarzamy niesprawdzone informacje, ale to nic, bo i tak szybko o nich zapominamy.

Sama często mam problem z ocenieniem, czy tekst, który czytam, nie jest fejkem. Czy profil Chrisa Niedenthala rzeczywiście został zablokowany? Czy Janusz Rudnicki naprawdę napisał ten idiotyczny tekst i nazwał go przeprosinami? Czy poważny polityk wierzy w *chemtrailsy*? Czasem przecież wystarczy kilka minut, by nieprawdziwy wpis na Facebooku czy Twitterze stał się artykułem na dużym portalu.

Codziennie czytamy śmieci, a potem tych śmieci nie segregujemy. Rośnie ich wielka góra.

Ponoć są sposoby na to, by sobie radzić z *fake newsami*, taki *fact checking* na własny użytek: trzeba przeczytać cały tekst, nie tylko tytuł czy nagłówek, potem warto sprawdzić autora tekstu, witrynę, z której pochodzi informacja, datę, poczytać komentarze, bo w nich mogą już być wskazówki co do tego, czy tekst ma sens.

A najlepiej czytać tylko media, którym się ufa. To akurat jednak rodzi kolejne ryzyko – zamknięcia we własnej bańce informacyjnej, w świecie ludzi o podobnych poglądach i podobnych facebookowych tablicach.

A *fake newsy* i tak będą dalej udostępniane, lajkowane i komentowane. Prawda dziś po prostu udostępnia się o wiele gorzej.



„Wojna” staje się częścią codzienności, coraz bardziej powszechną, coraz mniej szokującą. Ilość informacji, źródeł, internetowych dyskusji, wzmaganych *fakenew-sami* i postprawdą sprawią, że coraz trudniej jest się w tym odnaleźć. Z każdą informacją robimy się coraz bardziej obojętni. To rodzaj współczesnej propagandy, która nie ma na celu przekonania nas do swoich racji, ale sprawia, że przestajemy wierzyć w cokolwiek.

Zdjęcia ilustrujące artykuły medialne na temat możliwej wojny światowej nadrukowałam na ubrania, kubki, poduszki i torby. To uprzedmiotowienie wojny, która staje się produktem zwiększającym „klikalność” artykułów. Wpisuję je w codzienność, fotografując siebie i swoich znajomych w estetyce modnej w bańce młodych, kreatywnych mieszkańców dużego miasta, w której funkcjonujemy.

Weronika Perłowska



# Volkswagen passat



IGOR PISUK

22

Kiedy w małżeństwie Beaty i Borysa wszystko zaczęło się psuć, bo Beata uwielbiała badminton, a Borys wolał oglądać w telewizji piłkę nożną, Iwona, przyjaciółka Beaty, podpowiedziała jej sposób na uniknięcie rozwodu. Dziecko.

– Dziecko was zjednoczy. Wskrzesi waszą miłość – mówiła.

Beacie ten pomysł niezbyt się spodobał. Bała się ciężowych dolegliwości i bólu porodu. I nieprzespanych nocy już po urodzeniu dziecka.

– To w takim razie okłam męża – nie poddawała się Iwona. – Powiedz mu, że jesteś w ciąży. Że zaszłaś niedawno i dzisiaj się dowiedziałas. Kiedyś wszystko się wyda, jasne. Ale może do tego momentu tak bardzo się do siebie zbliżycie, że potem Borys ci wszystko wybaczy. I razem się będziecie śmiać z tego twojego numeru. Nie masz nic do stracenia. Albo tak zagrasz, albo się rozwiedziecie. Co ci szkodzi spróbować.

– Dobrze – stwierdziła Beata. I spróbowała.

Sześć miesięcy później, gdy razem siedzieli przed telewizorem i oglądali po raz setny *Źądło* z Newmanem i Redfordem, Borys zapytał Beatę:

– Kochanie, ale jak to jest, powiedz mi, że to już niby szósty miesiąc ciąży, a żadnego brzucha u ciebie nie widać? Jesteś tak samo szczupła jak przed ciążą. W ogóle nie tyjesz. Nie rozumiem tego. Wszystko jest w porządku? Nie trzeba iść do lekarza? Może coś z tą ciążą jest nie tak? – Borys jedną ręką objął żonę, a drugą rękę położył na jej brzuchu. – W ogóle żadnych kopnięć nie czuję. Zaczynam się martwić. – Zrobił smutną minę i wyglądał jak zbity pies.

Beata pomyślała sobie wtedy, że to jest właśnie ten moment, kiedy trzeba powiedzieć mężowi prawdę i zmierzyć się ze wszystkimi konsekwencjami kłamstwa, mając przy tym nadzieję, że Iwona miała rację i ta więź, którą Beata i Borys pielęgowali przez ostatnie sześć miesięcy, okaże się budowlą wzniesioną na skale, a nie na piasku. Już miała Borysowi opowiedzieć o swojej intrydze, spojrzała mu nawet głęboko w oczy i dłonią pogłaskała jego twarz, w ostatniej chwili jednak bardzo się wystraszyła, że spełni się najstraszliwszy scenariusz: Borys wybiegnie z rozpaczy z domu i słuch po nim zaginie, zamiast więc zdobyć się na szczerość, wymyśliła na poczekaniu kolejne kłamstwo, wyjątkowo durne, ale jednak, trzeba jej to przyznać, barwne:

– Wiesz, kobiety różnie przechodzą ciążę. To jest bardzo zindywidualizowane. Są takie, które potrzebują tych tradycyjnych dziewięciu miesięcy, ale są też takie, u których płód dojrzewa wolniej, niekiedy nawet trzydzieści miesięcy. To się rzadko zdarza, no ale się zdarza. I u mnie się zdarzyło. Lekarz mówił, że moja ciąża potrwa z dwadzieścia miesięcy. Dzieciaczek potrzebuje czasu i spokoju. Wszystko z nim dobrze, ale musimy na niego ciut dłużej poczekać. Taki już jego urok – Beata powiedziała tę bzdurę jednym tchem i aż trudno jej było uwierzyć, że się na takie szaleństwo zdobyła. Teraz, świadoma swojego wyglądu, czekała na wyrok.

Zastanawiała się, co zrobi Borys. Czy wyśmieje ją, czy się wścieknie, czy nazwie głuptasem i pogłaszcze po głowie. Żaden z tych scenariuszy się nie spełnił. Borys raz jeszcze położył rękę na brzuchu Beaty i powiedział cichym, ciepłym głosem:

– Aha, no trudno, to dłużej poczekam na nasze dziecko. Nie szkodzi. Najważniejsze, żeby było zdrowe. Nawet i te trzydzieści miesięcy bym czekał, jeśli by trzeba było. Niech się to nasze dziecko spokojnie rozwija. W twoim brzuszku jest mu ciepło i bezpiecznie – Borys tak szeroko się uśmiechnął, że wyglądał jak amerykański polityk na plakacie wyborczym.

Beata, powstrzymując się przed chichotem, dodała:

– Mój brzusek to najlepsze mieszkanie dla naszego maleństwa.

A potem przyszła noc. Długa listopadowa noc. Chłodna i ponura. Z pierwszym śniegiem leżącym na podwórku. I z mgłą. W tę noc, długo przed świtem, Beata po cichu, bezszelestnie wstała z łóżka i na palcach poszła do garderoby. Tam, nie paląc światła, po omacku wrzuciła kilka swoich rzeczy do walizki, walizkę w pośpiechu zamknęła i ostrożnie zeszła po schodach na dół, do korytarza. Wkładając buty i płaszcz, usłyszała jak na piętrze, w sypialni, Borys chrapie miarowo. Odetchnęła z ulgą. Nie obudziła męża. O tym, że odeszła, Borys dowie się dopiero około siódmej, kiedy jak zwykle wstanie do pracy. Ona będzie wtedy daleko. Może już nawet za polską granicą. Będzie w drodze do siostry, która żyje w Austrii.

Beata sięgnęła po kluczyki samochodu, leżące na małym stoliczku telefonicznym. I już miała wyjść i pojechać w siną dal, gdy głupio się jej zrobiło, że tak odchodzi bez pożegnania. Obok telefonu leżał notes z numerami, Beata wyrwała z niego jedną czystą kartkę i napisała na niej ledwie kilka zdań: „Odchodzę na zawsze. Nie szukaj mnie. Znosiłam długo twoją niechęć do badmintonu. Może z tym umiałabym sobie poradzić. Ale z tym, że jesteś idiotą, poradzić sobie nie umiem. Sprawdź w Wikipedii hasło ciąża, tępy ciulu”. Zostawiła pod tym wymownym liścikiem zamaszty podpis i wyszła przez główne drzwi domu prosto na podjazd, gdzie stał nowy volkswagen passat, którym zamierzała odjechać. Passat elegancki i reprezentacyjny, srebrny jak moneta. W tę listopadową noc odbijający światło pobliskiej latarni. Wspaniała, błyszcząca maszyna. Własność Borysa.

## JAROSŁAW DUDYCZ

Finalista Międzynarodowego Festiwalu Opowiadania 2016, miłośnik literatury niemieckiej i futbolu.

23

Nakład 500  
Wydawca: Sputnik Photos  
Koncepcja artystyczna: Agnieszka Rayss  
Projekt graficzny: Anna Piwowar  
Koordynacja: Marzena Michałek-Dąbrowska  
Promocja: Magdalena Gorlas  
Redakcja: Olga Gitkiewicz  
Korekta: Maja Nałęcka  
Drukarnia: Chromapress  
„Strony” wydrukowaliśmy na papierze IQ Print

Projekt współfinansuje  
m.st. Warszawa

**SPUTNIK  
PHOTOS**

